

Przeliczanie

Przełożyła Kaja Gucio

– Kto to? – zapytał Adam, wskazując na chłopca na huśtawce.

Adam siedział przy kuchennym stole i pomagał wklejać zdjęcia do albumu. Matka wałkowała ciasto na blacie, ale przerwała, żeby zerknąć na fotografię.

– To wujek Tommy – powiedziała. – Uważaj, nie pobrudź tego mąką.

Na następnym zdjęciu na kanapie u babci i dziadka siedziało kilkoro dorosłych. Kolejne przedstawiało sporą grupę przed wysoką kukurydzą – dzieci stały w pierwszym rzędzie.

– To ciocia Rosalie?

– Nie, Rosalie jest tutaj. Spójrz na włosy.

– A ty? Jesteś tu?

Matka zerknęła na fotografię.

– To ja. Najmniejsza, na końcu, w sukience z marszczeniami, z warkoczami.

Adam przyjrzał się dziewczynce o smutnej twarzy. Najchętniej pogłaskałby ją po głowie, ale teraz zostało po niej już tylko maleńkie ziarno ukryte wewnątrz jego matki.

– Sukienka z marszczeniami. Sukienka z marszczeniami – powiedział, układając dźwięki jak drewniane klocki, którymi kiedyś się bawił. Najwyższe z dzieci było rozmazane. Pewnie się poruszyło. – A ten chłopiec po drugiej stronie?

– Niech popatrzę... To Phillip.

– Phillip?

– Najstarszy. Twój wujek Phillip.

– Och... – Nie odrywając wzroku od fotografii, Adam przypominał sobie ostatnią rodzinną imprezę i dżunglę nóg, należących do kuzynów i ciotek i wujków i dalszych kuzynów i praciotek i prawujków. – Był u babci i dziadka na Wielkanoc?

– Nigdy go nie poznałeś. Mieszka daleko stąd.

– Jest starszy od wujka Tommy'ego?

– Tak.

– Starszy od wujka Franka?

– A co przed chwilą powiedziałam, Adam? Phillip jest najstarszy. Wkleisz to zdjęcie czy będziesz się w nie wgapił, aż wyblaknie?

Adam posłusznie pochylił się nad albumem.

– A jaki był wujek Phillip, kiedy miał tyle lat co ja teraz?

– Nie mam pojęcia – odparła matka. – Mnie wtedy nie było jeszcze na świecie.

– Aha... Po twoim urodzeniu?

Odparła, że może mu opowiedzieć o wujku Tommym albo o wujku Franku, cioci Rosalie, cioci Hazel czy wujku Royu. Ale z jej bratem Phillipem dzieliła ją taka różnica wieku, że równie dobrze mogli dorastać w różnych domach. Obróciła placek i przyłożyła do niego wałek.

– Wyjechał na studia na wschód i już nie wrócił, przyjechał tylko raz, kiedy miałam dwanaście lat, żeby mnie odwiedzić. Tata, czyli twój dziadek Jack, oczekiwał, że przejmie gospodarstwo. Pękło mu serce. Nigdy się z tym nie pogodził, chociaż reszta z nas została.

– Dziadek Jack nakrzyczał na wujka Phillipa?

– Dziadek Jack kochał Phillipa. Jak my wszyscy. Phillip był najstarszy. Phillip należał do rodziny.

– Och. To on umarł?

– Czy kto umarł? Oczywiście, że nie. Co to za pytanie? Wyjechał, żeby żyć.

– Och. – Adam nie spuszczał ufego wzroku z matki, jednocześnie ostrożnie próbując namierzyć drzwi, jakby szukał ich po omacku na ścianie za sobą. – Dokąd wujek Phillip wyjechał? – zapytał z udawaną nonszalancją. – Wyprowadził się do Des Moines?

Matka, wpatrzona w placek, który tworzył teraz niemal idealne koło, zmarszczyła brwi.

– Gdyby Phillip mieszkał w Des Moines, przyjeżdżałby na Wielkanoc. I na Święto Dziękczynienia, i na Boże Narodzenie. Phillip wyjechał do Europy.

– Do Europy?

– Wiesz, co to jest Europa. Leży za oceanem. To kontynent, tak jak Ameryka. Później popatrzymy na globus.

– A jak wujek Phillip był chłopcem, to był miły?

– Miły? Powiedziałabym, że hojny. Niepraktyczny.

Dostała od niego w prezencie sweter z Francji. Ale nie pasował do jej pozostałych ubrań, więc nigdy go nie nosiła.

– A co... – zaczął Adam.

Matka odwróciła się gwałtownie, groźnie, ale po chwili zamrugła i znów zajęła się ciastem.

– Wiecznie bujał w obłokach, nie umiał stąpać twardo po ziemi.

Babka Alice oddała sweter komuś, kto miał z niego pożytek. Ona i tak szybko by z niego wyrosła.

Ciasto stygło na półce. Zdjęcia zostały starannie wklejone do albumu. Adam wyszedł na świeżo zżęte pole i wyciągnął się na plecach, wpatrując się w lśniący błękit.

No więc czekał i czekał, aż wreszcie coś ciekawego wydarzyło się w jego życiu – odkrył tajemniczą osobę. Osobę, która po prostu wymknęła się z rodzinnych fotografii. Pozostali chłopcy i dziewczynki uwiecznieni na zdjęciach przeistoczyli się w jego matkę, wujków i ciotki, ale ten nowy wujek Phillip był daleko, za oceanem.

Adam usiadł zbyt szybko i zakręciło mu się w głowie, więc przymknął oczy, żeby odzyskać równowagę. W ciemności czerwone słońce rozbłysło, a kiedy znów uniósł powieki, na sąsiednim polu maleńki kombajn ścinał falujące złoto. Drobną figurką, która nim kierowała, to pewnie wujek Frank.

Tuż za kombajnem rozpościerała się krzywizna wielkiej planety Adama, Ziemi. Wiadomo było, że Ziemia jest okrągła i że kręci się pośrodku nieba.

Bóg stworzył Ziemię z jej przepastnymi oceanami, które Adam oglądał na zdjęciach, i z błękitnym powietrzem. Ale to kręcenie się Ziemi stworzyło pływy i wiatry, to ono stworzyło czas.

Panna Brewer to wyjaśniła. Ziemia była w ciągłym ruchu. Obracała się jak lizak na patyku, tak że patrzyło się najpierw na Słońce, a potem na Księżyc, i to był dzień. Ale lizak krążył też wokół Słońca w wielkiej owalnej pętli, jak po krawędzi talerza. Zawsze wracał dokładnie tam, gdzie zaczął, ale dopiero wtedy, gdy cały rok został na dobre wypchnięty w przestrzeń kosmiczną.

Na samą myśl o tym kręciło się w głowie. Po drugiej stronie planety, w pograżonej w ciemności, odwróconej do góry nogami Australii, mogli sobie teraz spacerować ludzie, a jednak z każdym krokiem powracali na Ziemię, jakby mieli namagnesowane stopy. Ponieważ tak naprawdę świat nie miał góry ani dołu, a Adam był tak samo odwrócony do góry nogami, teraz, w biały dzień, jak tamci, nocą, w Australii.

Panna Brewer powiedziała im, że nigdy nie spadną z Ziemi. Ale co jeśli panna Brewer się pomyliła i coś jednak poszłoby nie tak? Co gdyby jakaś część Ziemi się zepsuła, na przykład hamulce, i zaczęłyby się szybciej kręcić – czy wtedy wszyscy by pospadali? Czy oceany

rozlałyby się na wszystkie strony? Czy kontynent amerykański zderzyłby się z europejskim? Czy dzień i noc stałyby się tylko małymi paskami – jasny ciemny jasny ciemny?

Właściwie to wiatr już teraz się wzmagał. Nie było w tym oczywiście nic dziwnego... Ale właśnie porwał gumę do żucia, którą zamierzał rozpakować!

Pewnie nikt inny nie zwracał na to uwagi, a on zauważył to jako pierwszy. Czy powinien biec do domu i powiedzieć matce? Wyśmiałyby go albo powiedziała, że kłamie. Zresztą i tak już za późno, żeby coś z tym zrobić – błękit nad nim był już głębszy, intensywniejszy niż przed chwilą...

Adam przywarł do ścierniska i zamknął oczy. Trzymaj się – pomyślał, gdy Ziemia nabierała prędkości i bezmyślnie wirowała dalej w noc – trzymaj się, trzymaj się, trzymaj się!

Jako przyczynę śmierci podano zapalenie płuc. W Londynie zorganizowano uroczystość dla osób, które znały i kochały Phillipa, ale pogrzeb miał się odbyć w jego rodzinnym domu, wyłącznie dla najbliższych, którzy od dziesięcioleci widywali go tylko w wycinkach z gazet, przesyłanych przez czujną kuzynkę z Kalifornii. Kiedy w końcu tam przybył, znajdował się w zapieczętowanej trumnie. Z czasem, podczas długich lat nieobecności, przyniósł nieco chwały małowzrastającemu miasteczku, w którym dorastał, i stał się tam powodem do dumy, ponieważ podziwiano go gdzie indziej.

Vivian, przyjaciółka Phillipa, wiedziała co nieco o jego rodzicach i napisała do nich odpowiednio serdeczną wiadomość, zapraszając na uroczystość w Londynie. Odmówili, twierdząc, że stan zdrowia nie pozwala im na podróże. Wyglądało jednak na to, że jeden krewny planuje przyjechać – jakiś bratanek Phillipa o imieniu Adam, który zakomunikował jej to w krótkim liście.

Wciśnięty w fotel, po raz pierwszy w życiu przebijając się przez cudowne chmury, Adam przypomniał sobie dziecięce próby telepatycznego kontaktu z tajemniczym wujem, mglistą postacią, promienną i życzliwą, która widziała w nim to, co najlepsze, nawet gdy inni kręcili głowami i wzdychali. Szkoda, że nigdy nie odważył się do niego napisać...

Dzień płynął w stronę samolotu, samolot szybował w dół, przepływające strumienie ludzi wchłonęły Adama, pociąg go odebrał, a następnie odstawił – jakkolwiek nieprawdopodobnie to brzmiało – zaledwie kilka przecznic od celu, w miejscu zwanym Chalk Farm, choć w rzeczywistości mieściło się w Londynie i wcale nie była to farma. Para – Hindusi, jak przypuszczał Adam – która prowadziła ten osobliwy hotelik, znalazła gdzieś żelazko, a jemu udało się odratować niemilosiernie wygniecioną w plecaku koszulę.

I całe szczęście – nie spodziewał się, że będzie tak elegancko, uświadomił to sobie dopiero wtedy, gdy wchodził na szerokie schody w budynku, gdzie miała odbyć się uroczystość. W ogóle niczego się nie spodziewał. Maj dobiegał końca. Adam niedawno zrobił licencjat, a dziewczyna właśnie z nim zerwała, przekreślając tym samym sporą część jego wyobrażeń o przyszłości. Studia magisterskie miał rozpocząć jesienią, a wakacyjna praca, którą załatwił sobie w Cincinnati, zaczynała się dopiero za trzy tygodnie. Nie wspominał rodzicom o uroczystości, kiedy do nich zadzwonił i powiedział, że zaoszczędził dość, żeby wybrać się na wycieczkę. „Do Europy?” – spytała matka, jakby po raz pierwszy słyszała to słowo.

W holu Adama otaczał miękko język ojczysty, ale rozszczepiony na liczne akcenty brzmiał obco. Tak naprawdę wydawało się, że egzotyczne istoty, które tu się zgromadziły, łączy ze zwykłymi ludźmi co najwyżej pobieżne podobieństwo. Tak wielu ludzi z tylu różnych krajów, a wszyscy wyglądali tak wyjątkowo, tak ciekawie, wszyscy tacy niezwykle pewni swego prawa do zajmowania przestrzeni!

Powiedz „dziękuję”, powtórz, powiedz „przepraszam”, powiedz „proszę”, powiedz głośniej, nie tak głośno, zmów modlitwę, nie wchodź kobiecie w drogę, poproś o dokładkę, tak jest grzecznie, nie nakładaj tak dużo, złóż wizytę, przynieś prezent, nie zostawaj dłużej, niż wypada – nikt z jego rodziny nigdy tak nie wyglądał! Nikt z jego rodziny nie wyglądał tak, jakby miał prawo w ogóle gdziekolwiek być!

Chyba że wujek Phillip. Przed wejściem na salę Adam przystanął za kolumną w rogu holu, żeby się pogapić. Tak, wyglądało to, jakby kosmici z jakiejś zaawansowanej cywilizacji sprytnie przebrali się za ludzi, żeby osiągnąć pewien cel, który nie został mu jeszcze objawiony.

Może to żart. Gdy tak wpatrywał się w tłum, który falował i tworzył rozmaite konfiguracje, jedna kosmitka odłączyła się od pozostałych i skierowała w jego stronę.

– Cześć, świetnie, że udało ci się dotrzeć, wielkie dzięki, och... Vivian – powiedziała, gdy obejrzał się za siebie, przekonany, że zwraca się do kogoś innego. – Vivian – powtórzyła i wskazała na siebie. – Ty jesteś Adam, prawda? Dopiero dzisiaj przyjechałeś? Pewnie jesteś wykończony.

Jej włosy w jawnie sztucznym odcieniu czerwieni były krótko ścięte i tworzyły wokół jej głowy szorstką sterczącą szczecinę, ale gdy mówiła, na jej drobnej spiczastej twarzy malował się wyraz skupienia, jakby coś przeliczała, jakby śledziła wzrokiem jakieś małe toczące się przedmioty.

Zatem to była Vivian. Czy to ona tworzyła ów żart? Na podstawie listu, który napisała do dziadków, wyobrażał sobie dziewczynę wujka jako dystyngowaną damę z kilkoma podbródkami, ale choć wokół jej zielonych oczu, podkreślonych mocnym makijażem, rysowała się siateczka delikatnych zmarszczek, a ją samą otaczała aura lekkiego znużenia, wyglądała jak dziecko przebrane w elegancką garsonkę matki i szpilki. Dziecko o zgrabnych nogach. Mówiła w sposób, który z miejsca zachwycił Adama, a na palcach delikatnych, ruchliwych dłoni nosiła kilka wielkich pierścieni.

– Co? – rzuciła.

A, no tak, gapił się na nią.

– Jak mnie rozpoznałaś? – zapytał.

Rozległ się krótki perlisty śmiech.

– Szczerze mówiąc, kochanie, poczułam się, jakbym zobaczyła ducha. Starego ducha. To znaczy nie tyle starego, rzecz jasna, ile dawnego... Nie, też nie, jak to było? Ducha minionych lat. No ale, ojej, chyba wszystkie duchy takie są z definicji, prawda? Tak czy inaczej, chodź, zrobimy obchód, ludzie chcą cię poznać.

Najwyraźniej niektórzy znajomi wujka rzeczywiście chcieli go poznać. Albo przynajmniej przyjrzeć się komuś z rodziny. Matka i dziadkowie powiedzieli mu wprawdzie bez entuzjazmu, że przypomina wujka, ale ludzie, którym Vivian go przedstawiała, najwyraźniej uważali to podobieństwo za zaskakujące i wspaniałe. „Włosy i oczy – powiedziało kilkoro – identyczne”. No tak, oczywiście – wszyscy w rodzinie mieli takie same lśniące włosy koloru pszenicy i szare oczy, nic szczególnego... Pośród tylu szeptanych kondolencji nie wypadało wspominać, że sam nigdy wujka nie widział.

Grupa ludzi, rozszerzająca się i zwężająca łagodnie, jak fale opływające wysepkę, otaczała jakiegoś mężczyznę, na oko, jak ocenił Adam, blisko pięćdziesięcioletniego. Oliwkowa skóra,

czarne włosy, kremowy garnitur, oczy blade jak u wilka... W jego postawie było coś boleśnie dostojnego, jakby pokrywała go szczelnie jakaś substancja, która hamowała jego ruchy – podanie ręki, pocałunek w policzek...

– Simon – szepnęła Vivian do Adama.

– Kto? – zapytał równie cicho Adam, nachylając się w jej stronę.

Poklepała go po dłoni.

– Simon – wyszeptała, nieco głośniej.

– Aha – odparł. Poczul, że się rumieni i przez chwilę serce mocno mu zabiło.

Wszyscy zajęli miejsca, a kilka osób, w tym Vivian, po kolei wchodziło na scenę i opowiadało o jego wuju albo przytaczało jakąś historię. Mężczyzna o imieniu Simon wygłosił jedno czy dwa zdania wstępu, ale poza tym się nie odzywał.

Adam dowiedział się, że kiedy wujek zmarł, rozpoczęto już prace nad zaprojektowaną przez niego ogromną galerią muzealną, w całości poświęconą kaligrafii azjatyckiej i islamskiej, którymi się pasjonował. W budowie była również sala koncertowa, której ukończenia gorąco pragnął. Jednak projekt, na którym najbardziej mu zależało, został odłożony. Eksperyment, choć niezbyt realny – skupisko domów o pokrytych darnią dachach, z małymi wiatrakami, z reflektorami do łapania światła słonecznego, z dziwaczną konstrukcją służącą do recyklingu wody... Bez wątplenia ciekawy, ale... Adam zdał sobie sprawę, że przyszło mu do głowy okropne określenie, którego użyła matka: „niepraktyczny”.

Cztery czy pięć anegdot sprawiło, że ciche parsknięcia przerodziły się w głośny, wdzięczny śmiech. Drobnym, niepozornym mężczyzną zaśpiewał kilka kawałków – pieśni, jak je nazwano w programie – przy akompaniamencie fortepianu, tchnących pięknem tak potężnym i czystym, że Adam poczul się nim odurzony.

Kilka razy zakręciły mu się w oczach łzy – nie z żalu, rzecz jasna, a jednak wydawało mu się, że jakaś szponiasta istota rozrywa go powoli na kawałki. Wielu obecnych było – podobnie jak jego wujek – osobami, o których się czytało. Zajmowali się sztuką, dziennikarstwem, nauką, przekształcali świat, który zastali, w taki, w którym on będzie żył. Jak to możliwe, że on też tu jest? Zawsze myślał o wujku jako o kimś, kogo sobie w mniejszym czy większym stopniu wyobraził, ale może to było na odwrót. Jego bezcielesny wuj był bardziej żywy od niego – może to Adam został przywołany z bladej wizji przyszłości, by się tutaj zmaterializować...

Matka siedziała pewnie teraz z dziadkami w kuchni, rozmawiali o wiadomościach telewizyjnych albo ogrodzie warzywnym, albo kościele, pogodzie, sąsiadach, wymieniali ponure, krótkie, zrytualizowane uwagi. Taki właśnie był kod jego dzieciństwa, który musiał wystarczyć do wyrażenia wszystkich smutków, wszystkich radości, wszystkich lęków. Było coś groteskowego w tym, że ciało wujka trafiło z powrotem na równiny, gdzie w jednolitym świetle słońca Bóg z upodobaniem sprawdzał, czy nie masz na duszy żadnej plamki.

Sztywna pastelowa epoka, która ukształtowała jego matkę i odrzuciła wujka, dawno się już skończyła, ale tam, gdzie dorastała cała jego rodzina, nic nie zajęło jej miejsca. Gdy Adam się urodził, radosne lata sześćdziesiąte snobistycznie ominęły ten region, a teraz sprzedajne lata osiemdziesiąte wyciskały z niego wszystko, co się dało. A tamtejsze skromne wiejskie życie, te ciasta, te miłe, zmęczone kelnerki w kraciastych uniformach, parady z okazji Czwartego Lipca, szybko ścierająca się powłoka wesołości, wszystko to zaczęło sprawiać wrażenie preparatu zakonserwowanego w butelce, żalostnej, amatorskiej, nazbyt często odgrywanej rekonstrukcji rajy, który, jeśli się nad tym zastanowić, od początku był trochę tandetny.

Wszyscy kierowali się do wyjścia.

– Jak się tam dostaniesz? – zapytała Vivian.

Spojrzał na nią.

– Clifford ma samochód – powiedziała. – Chodź.

Clifford okazał się cudownie brzydkim, eleganckim staruszkiem, który przemawiał wcześniej, zgryźliwie i czule. Trudno było sobie wyobrazić, by mógł zniżyć się do tak plebejskiej czynności, jak prowadzenie samochodu, i rzeczywiście, jeździł błyszczącym, przypominającym panterę pojazdem, którym kierował szofer w uniformie.

Adam trafił na przednie siedzenie, co uchroniło go przed stresem związanym z kolejnymi niespodziankami. Zanurzony w pomruku silnika patrzył, jak rozpościera się przed nim wspaniałe miasto. Dobiegał go jedynie szmer rozmowy Vivian i Clifforda. W pewnej chwili wydawało mu się, że w powietrzu zawisło jego imię, ale kiedy się odwrócił, zobaczył, że oboje wyglądają przez okna pustym wzrokiem, a ich ręce spoczywają swobodnie na siedzeniu między nimi.

W domu były żyrandole, które wyglądały jak z syreniego pałacu. Podłogi lśniły niczym woda. W ogromnych lustrach odbijał się ogród i kaskady kwiatów. Adam stał przy otwartych drzwiach werandy i patrzył, jak światło rozpryskuje się pośród liści. Dzień, tak świeży i migotliwy, zdawał się zawierać w sobie każde dotychczasowe lato w dziejach i obiecywał, że nadejdzie ich więcej, nieskończenie więcej.

Czekały tam małe pyszne przekąski i duże krusze kieliszki pełne wina. Dwie muzyczki w białych szatach siedziały po turecku na haftowanych poduszkach, wyciągając z innego świata delikatny, przejmujący sznur dźwięku. Każda nuta drżała przez chwilę w powietrzu, rozpluwając się, powodując rozplwanie się ścian, znosząc podziały między jedną myślą a drugą, jednym uczuciem a drugim – zachwytem i udręką, rezygnacją i tęsknotą, splatając się ze sobą i rozpluwając...

Dom uniósł się lekko z ziemi. Adam trzymał się kurczowo Clifforda i Vivian. Chciał coś powiedzieć...

– Długo przyjaźniliście się z moim wujkiem? – wydukał w końcu i zarumienił się na myśl, że aż tyle czasu zajęło mu sformułowanie tego zdania.

– Oboje znamy go... Znaliśmy go jakiegoś, sama nie wiem... – Vivian popatrzyła na Clifforda. – Och, dziesięciolecia. Całe wieki, wieczność. A wydaje się, że to tylko mgnienie oka.

– Młodzi myślą, że długa znajomość to nie lada osiągnięcie – oznajmił Clifford. – Ale wysiłek potrzebny jest tylko na początku, bo potem wszystko toczy się samo.

– Ale to musi być wspaniała rzecz mieć starych przyjaciół – powiedział Adam i od razu zdał sobie sprawę, jak bardzo nietaktownie się zachował.

Clifford posłał mu uśmiech, jakim zazwyczaj kończy się nudną transakcję biznesową.

– Z pewnością prędzej czy później sam się o tym przekonasz. Jeśli pożyczysz dość długo. Nie trzeba ich nawet lubić! Po prostu są przy tobie, czy tego chcesz, czy nie. O tak, starzy przyjaciele to cudowna sprawa. Trzymaj się swoich starych przyjaciół. Starzy przyjaciele są najlepsi. Bo rzeczy, które zrobią ci nowi przyjaciele, będą równie okropne.

Clifford i Vivian parsknęli lekko, a potem, ku zaskoczeniu Adama, objęli się mocno. Kobieta oparła policzek o kolorową poszetkę na piersi mężczyzny i oboje stali tak przez chwilę, kołysząc się delikatnie, aż Clifford wypuścił Vivian i odwrócił twarz.

Vivian przytknęła opuszkę palca do oka, zatrzymując łzę, zanim ta zdążyła rozmazać jej makijaż.

– Kolej na Simona, tak? – powiedziała po chwili. – Jesteś gotowy?

Simon przyglądał mu się uważnie jasnymi, wilczymi oczami, które zdawały się pamiętać wszystkie niedostatki zimowych lasów.

– Przygotowałem dla ciebie kilka rzeczy Phillipa – powiedział. – Moim zdaniem chciałby, żeby trafiły właśnie do ciebie. Ale przed wyjazdem z Londynu musisz wpaść i wybrać sobie to, co ci się spodoba.

Adam wydał z siebie zbitkę dźwięków, ale ciężar nieobecności wuja spadł na niego i je zmiażdżył, pozbawiając niemal całego znaczenia. Simon stał uprzejmie z pochyloną głową, dopóki Adam nie skończył, a potem poklepał go po ramieniu i wrócił do odgradzonego świata, gdzie czekał na niego blaknący Phillip.

[...]

Trzecia wieża

Przełożył Krzysztof Majer

Therese

To Julia go znalazła, w stercie starych rzeczy. Nie przyda się, stwierdziła, więc chciała dać Therese.

A na co jej niby, odparła Therese, jakiś stary wyświechtany notes, w którym są same puste kartki?

Przecież lubisz pisać odręcznie, powiedziała Julia.

Therese spojrzała na trzymany przez koleżankę przedmiot. I sięgnęła po niego.

Julia się roześmiała, aż podskoczyły czarne loki.

Wieczorem Therese wsuwa podarek pod skarpetki: milutki, starannie złożone. A nazajutrz, gdy przypomina sobie, by go stamtąd wydobyć, jest tak, jakby przez sen i długi roboczy dzień pokochała ten notes. Może nawet zabierze go ze sobą w podróż!

Z tą miękką czerwoną okładką wygląda naprawdę wiekowo. Na białych kartkach mogłyby się kryć różne historie. Therese wodzi palcami po grubym, szorstkim papierze, jak gdyby chciała go obudzić...

Pociąg

Kiedyś ten bezmierny kraj wzdłuż i wszerz przecinały tory kolejowe, dniem i nocą ku wszystkim jego zakątkom mknęły pociągi.

Tak Therese słyszała. A w każdym razie wydaje jej się, że tak słyszała. Chyba że to strzępek snu – albo po prostu jej mózg się myli; może nie było żadnych pociągów.

Kto wie. Pewne jest to, że teraz jest jeden – przejeżdża przez jej miasteczko, a potem pędzi aż do Miasta, gdzie mają kompleks szpitalny – co za szczęście!

Na czas jej nieobecności Felix wziął kogoś na zastępstwo. Ale obiecał, że Therese będzie mogła wrócić na swoje miejsce. Mała, ale robotna, mówi o niej. Tyle że ostatnio te jej napady tak się nasiliły, że nie potrafi utrzymać tempa.

A jak załatwiał jej wyjazd na leczenie, był jakiś smutny, zwierzyła się Julii.

Hm, odparła Julia wymijająco.

Fakt, że na twarzy Felixa maluje się zawsze to samo – jak u niemal wszystkich starych ludzi – czyli jakaś mętna bezradność, jak gdyby właśnie wkroczyli w dzień pełen zmartwień, które śniły im się przez całą noc.

W każdym razie Therese będzie mogła zobaczyć Miasto!

Jasne, wszyscy widzieli je już z milion razy w filmach i magazynach – powietrze szkliste, lśnią wieże i pomniki, z pogodnego portu, ku bezkresnemu horyzontowi, płyną żagłówki – przepiękni, przepięknie ubrani ludzie, szerokie białe bulwary, kwitnące rabaty, wyśmienite restauracje, wspaniałe wystawy – na aksamicie połyskują sznury ciężkich klejnotów...

Spośród dziewczyn z kwater jeszcze żadna tam nie była i teraz wszystkie jej zazdroszczą.

Serio? pyta Therese; serio chciałyby wywalać się bez żadnego ostrzeżenia tak jak ona? Natychmiast by się z nimi zamieniła. (Choć tak naprawdę może nie.)

Za to będzie ich oczami i uszami, obiecuje.

Siedzenia są takie wygodne, nawet tu w przedziałach trzeciej klasy. Leciutkie ekscytujące szarpnięcie, a serce bije mocniej, bo już słysząc pomruk kół, szorujących o tory.

Tego ranka do jej drzwi zapukała Julia i wręczyła jej tekturowe pudełko z kanapką i jabłkiem, by w podróży nie doskwierał jej głód.

Prawdę mówiąc, już jej doskwiera, chociaż dopiero co usadowiła się w przedziale. Ale na razie zostawi pudełko w spokoju.

Pudełko! Słowo skrzy się, nabiera blasku...

Therese sięga do torby po notes i długopis zwędzony z pralni, kiedy Kyra akurat nie patrzyła – lecz cokolwiek zamierzała zrobić, nie zdąży; słowo już wybuchło, został z niego twardy, suchy zwitek: pudełko. Okej, pudełko. Właściwie czuje się wyczerpana, jak gdyby ktoś zbyt gwałtownie wybudził ją z głębokiego snu.

A potem jest tylko mrok – to pewnie tunel.

Teraz znów jasno, a po jej miasteczku ani śladu!

Therese gra w coś nowiutkiego na ekranie siedzenia, w tę i we w tę śmigają cukierkowane kluchy. Ale błyszczą! Strzela się do kluch, a jak się którąś trafi w sam środek, leci z nich deszcz złotych monet, ale zaraz przyśmigują nowe kluchy, by je pożyć, więc i te nowe trzeba wystrzelać.

Promienie słońca kładą się ukosem na przydymionych sadzą oknach, ślizgają raz w jedną stronę, raz w drugą, gdy pociąg przejeżdża nad rzeką gęstego błota, mieniającego się wszystkimi kolorami tęczy.

Tylko gdzie oni w ogóle są? Na filmach ani na zdjęciach z kolorowych magazynów Therese nie widziała takich miejsc – takich miasteczek! Nikogo w zasięgu wzroku, potłuczone szyby, okna zabite deskami, zaplombowane plastikiem, wszędzie hałdy śmieci, pordezwiątych i pognitych, tu sterczy noga od krzesła, tam część staroświeckiego roweru, gdzie indziej znów obszarpana, ufajdana lalka...

I ta rozpacz rozlewa się na wszystkie strony, jak gdyby ktoś przez nieuwagę wyrzucił kolosalne wiadro ze zgliszczami. I przez to wszystko przedziera się maluteńki pociąg, wiozący drobinę o imieniu Therese.

Pociąg toczy się powoli, z klekotem, przez kolejny most – niewydarzone, koślawe przeszło nad rozpadliną – i rozbudza chmarę dzieciaków, które biegną za nim tam w dole, próbując dotrzymać tempa. Buzie umazane farbą, może po prostu brudne? Choć dzieciaki koziołkują jak złośliwe, rozbrykane diablątka, ciskając kamienie i butelki, metalowemu pancerzowi pociągu nic nie grozi, ziuuum – z nich też zostały drobiniki, płasające zakrętasy.

Do Therese dociera, że jest zimno. A ona, taka malutka, z zawrotną prędkością oddala się od koleżanek... Kurczowo ścisną pudełko od Julii i rozgląda się po przedziale, lecz reszta pasażerów jest przyklejona do własnych ekranów, własnych urządzeń: twarze zamknięto.

Za oknem przepływają widoki, zmacone, nie całkiem spójne, jak wzory z rozwijanej beli jedwabiu. Teraz widać las. I rozgrzebane ogniska, tak to wygląda. Znów śmieci... stary bucior? Podarta koszula...

Kilka tygodni temu przy kolacji któraś z dziewczyn mówiła, że ponoć z kompleksów więziennych uciekła zgraja przestępców. Czy to możliwe, że Therese jedzie akurat przez tę część kraju?

Zbiegowie – słowo wybuchła ze swej łuski, rozbłysła jak rakietka, rozpościera się, rozbija powietrze na pryzmaty, odłamki lustra. Therese chwyta notes i coś w nim naprędce zapisuje.

Poci się. Zamyka oczy. I dopiero po kilku głębokich wdechach sprawdza, co widnieje w zeszycie: „Uniformy – więźniowie i strażnicy, krzyki, szczęk metalu – krew i broń. Dwaj członkowie straży obywatelskiej brną przez las, potykając się o sękaty korzenie, niosą ciężki drąg, każdy trzyma za jeden koniec, z drąga zwisa mężczyzna, przywiązany do niego za krwawiące nadgarstki i kostki...”

Therese przygląda się słowom w notesie. Okropieństwo!

Szczęśliwie akurat jedzie do szpitala – może za bardzo się podekscytowała podróżą!

Zerka za okno, bierze jeszcze parę głębokich wdechów.

Nie, wszystko w porządku – szklany pył już osiada, scala się powietrze...

Dobrze, że już wyjechali z lasu.

Zabawne! Długopis ma przywieszkę z napisem „Zwrócić do pralni”.

Ogląda całą serię kreskówek o radosnym stworzeniu, na które mówią dziobak. Przecież jej miasteczko jest normalne – ot, zwykle tętniące życiem miasteczko. W galeriach pełno ludzi na zakupach.

A tamci mężczyźni w lesie – to był tylko obraz.

Kanapka zjedzona, jabłko też, dojechali. Therese strzepuje z pudełka parę okruszków, a samo pudełko, złożone na płask, wsuwa do torby obok porządnej sukienki (zabrała porządną sukienkę!) i, rzecz jasna, notesu.

Doktor

Pacjentka T716-05: lat 17 i 8 m-cy. Robotnica, inteligencja przeciętna, wzrost/waga/wygląd j.w. Odruch stabilizacji werbalnej znacznie poniżej normy. „Natłok” lub „rozmaz” myśli, proces rozumowania nadmiernie płynny. Sporadyczne omdlenia. Dolegliwości wskazują na nietypową aktywność kory mózgowej, diagnoza na ten moment niepełna. Należy mieć nadzieję, iż objawy złagodzi sekwencja modyfikacji repetycji w połączeniu z supresantami elaboracji („klarówkami”, jak mówią młodzi).

Opinia

Drzewo, mówi doktor.

Therese spogląda na niego, ale jest wpatrzony w nedorzeczną maszynę, do której ją podpięto.

Drzewo proszę, powtarza.

Therese zastanawia się chwilę. Liść, mówi.

Śledząc tarcze jakichś przyrządów, doktor marszczy czoło. Najwyraźniej zarejestrowały jej brak przekonania.

Therese próbuje jeszcze raz: Cień.

Po prostu pierwsze, co przyjdzie do głowy, mówi doktor.

Pień? mówi Therese.

Pień? mówi doktor.

A potem wzdycha, zsuwa z nosa gogle. Ważne, żeby mówiła pani dokładnie to, co ma na myśli, Therese, a nie to, co, jak się pani wydaje, ja chcę usłyszeć. Gdybym miał czarodziejską różdżkę i mógł sprawić, że pani objawy znikną, proszę mi wierzyć, nie wahałbym się. Niestety ten proces jest bardziej złożony, potrzebujemy więc całkowitego pani zaangażowania. Tu nie ma „prawidłowych odpowiedzi”. Chcę usłyszeć odpowiedź spontaniczną, tę, która przychodzi pani do głowy natychmiast po usłyszeniu bodźca. Nie ma tu miejsca na sztuczki ani na wstyd. Każda prawdziwa odpowiedź będzie prawidłowa.

Jego uśmiech ma wyrażać cierpliwość i pobłażanie.

Chyba uśmiech? Jego twarz to właściwie rozległy zwal grubych, gąbczastych warstw, więc trudno powiedzieć.

No dobrze, podejmuje doktor: Drzewo.

Każda prawdziwa odpowiedź!... Właściwie kręci jej się w głowie, a teraz słowo ma już nad nią władzę, jaśniej i skrzy się dziko, powietrze pęka na kawałki, zrywa się wietrzyk, cienie ganiają się ze światłem po ogrodzie. W staroświeckim domostwie dziecko duma nad klawiszami instrumentu, szukając nut, które oznaczono na stronach eleganckimi cętkami. Uwolnione dziecięcym dotykiem, odrywają się i płyną chybotliwie przez rozwarłe szklane drzwi, pojedynczo, dwójkami, trójkami, by osiąść niezdarnie na liściach okazałego drzewa, gdzie pokołysawszy się jeszcze chwilę, nikną w półprzezroczystym powietrzu. Snuje się za nimi delikatny skrawek melodii, niczym zapach.

Fortepian! mówi głośno Therese.

Słucham? odpowiada doktor. Przygląda się tarczom, a potem uderza w maszynę i znów w skupieniu marszczy brew. Słucham? – obraca się ku niej. Powiedziała pani...?

Teraz już i muzyka rozplywa się w powietrzu, zostawiając po sobie tylko widmowy ślad na jej zmysłach, jak ten na prześcieradle, jeszcze ciepły, gdy ktoś dopiero co się przebudził i wstał z łóżka.

Fortepian, czy tak właśnie pani odpowiedziała? Głos doktora to surowe czarne smugi, pod którymi znika resztką melodii. Gra pani na fortepianie, Therese?

Czy ona gra na fortepianie? Że co? Jakże by miała grać na fortepianie? Na oczy nie widziała fortepianu, w każdym razie takiego prawdziwego! Och – żegnaj, ogrodzie, żegnaj, cudne drzewo, żegnaj, dziecię, kimkolwiek jesteś... Przebudzona wstaje, wchodzi w dzień, ten konkretny, gęstniejący wokół niej w szarość nieco obskurnego gabinetu, w którym siedzący naprzeciw doktor czeka na odpowiedź.

Pokój

Przydzielono jej pokój (614). Jest okno i składane łóżko, a na nim pościel i koc. Jest też niewielki stolik z szufladą, do której Therese chowa swoje rzeczy.

Żadnego nadmiaru. Wyjaśniają: chodzi o to, by stymulacji zmysłów było możliwie najmniej.

Innymi słowy, jeśli dobrze zrozumiała: niczego, co by ją mogło pobudzać. Nie ma lustra ani zasłon w oknie, tylko metalowe rolety, które trzyma się zamknięte, by chronić ją od migotliwych dźwięków Miasta, od słońca, od zagadkowego księżycy.

[...]